



SAMOŚPIEW

Ze też ja wcześniej na to nie wpadłem! Kręcę się wokół tego tematu od lat. A rozwiązanie leżało tak blisko.

Od dawna zadaję sobie pytanie – dlaczego ewidentna miernota tak się podoba publiczności? I zastanawiam się, o co chodzi? Czy ludzie się aż tak nie znają na muzyce? Zresztą nie tylko o muzykę idzie. Wystarczy spojrzeć na troglodytów święcących tryumfy na naszej scenie kabaretowej – tam jest tak samo albo nawet gorzej. Wróćmy jednak do naszej muzyki. Naprawdę czasem nie wierzę, że niektóre zjawiska są w ogóle możliwe. A jednak. Sukces. Ludzie walą drzwiami i oknami. Zostawmy teraz na boku spekulacje o manipulacjach medialnych, o tym, że ktoś to lansuje, decyduje, puszcza w radiu, wydaje płyty i, że niejako przez zasiedzenie (bo i ten mechanizm perfekcyjnie działa), wdzierają się te „dzieła” do naszej świadomości. Nie o to mi teraz chodzi.

Weźmy sprawę na spokojnie. Jest utwór. Melodia dość prosta i niczym niewyróżniająca się. Zazwyczaj dwie części. Forma z reguły polegająca na powtarzaniu w nieskończoność krótkich motywów. „Bicie” też oczywiście proste i niewyrafinowane (proste może być wyrafinowane).

Warstwa tekstowa. Właściwie to nie powinienem tak tego nazywać, bo to sugeruje jakiś poziom. Stosowniejsze byłoby określenie „ułożone wyrazy i sylaby”. Jak brakuje do końca frazy, to się dodaje kilka powtórzeń ostatniej sylaby albo przypadkowej samogłoski. I mamy takie „e-e-e” czy „a-a-a”. Jak popadnie. O transakcentacjach nie wspomnę, bo tu już

panuje kompletna dezynwoltura. Zaznaczyć należy, że najczęściej wykonawca (częściej wykonawczy, ale „sza”, bo będzie, że seksizm i antyfeminizm) jest autorem i kompozytorem, jeśli nie wyłącznie to „współ”. Kiedyś, oburzony, podzieliłem się z kimś moją rozpaczą. Usłyszałem, że teraz tak jest nowocześnie... Zgroza. Że też nie wpadli na to Tuwim, Przybora czy Osiecka. Szkoda, bo też byliby nowocześni, ba, wyprzedziliby swoje epoki...

Dalej idzie wykonanie. Niestety, często manieryczne i silące się na dziwactwa. Nie może być normalnie i po prostu dobrze, bo artyście lub jego mentorom wydaje się, że wtedy nikt tego nie zauważy. Chyba już wystarczy. Dodam jeszcze, że tak zwana oprawa muzyczna tego wszystkiego często jest na niezłym poziomie. Wschodzi ziarno siane na kilkunastu wydziałach, instytutach i kierunkach jazzowych w całej Polsce. Instrumentalistyka już od lat jest u nas na dobrym i coraz to lepszym poziomie.

Wracając do meritum. Po raz kolejny zadam pytanie – na czym polega sukces tej mizerii? Teraz będzie kulminacja i wyjaśnienie. Otóż rzesze fanów najwyżej w świecie personifikują się ze swoimi idolami. Taka twórczość i wokalistyka leży po prostu w zasięgu ich możliwości. Sami mogą sobie coś takiego „skomponować”, napisać tekst i wykonać. Tak myślą i w dużej mierze mają rację. O to właśnie chodzi. Cała tajemnica i fenomen. Sami. To jest wypisz wymaluj mój tytułowy SAMOŚPIEW! Tak jest! Proste?

Żaden spiszek mańkutów i cyklistów. To by znać, że gdzieś „na górze” jest ktoś, kto tym wszyst-

kim rządzi i się zna. Niestety, nikogo takiego nie ma. Ci, co się znają, nie siedzą „na górze” (sic!). To po prostu SAMOŚPIEW wygrywa.

I tradycyjnie nie wymienię żadnego nazwiska. By się potem obnosiły (te gwiazdy), że niby takie słynne, że o nich piszą, albo jeszcze, co gorsze, uzurpowwałyby sobie przywileje męczennic. Nie dam się sprowokować.

Kiedyś na warsztatach wokalnych jedna dziewczyna, zapytana, co chce robić w przyszłości, odpowiedziała – „chcę być aktorką, piosenkarką albo modelką”. Bez komentarza.

A nie powinno być tak, że to, czego słuchamy, to niedościgniony ideał i absolut? Żeby jeśli już ktoś zacznie próbować coś sam, to aspiruje do tych najlepszych? I pracuje, ćwiczy, uczy się, rozwija. I potem niektórym się udaje.

Niedawno był powtarzany w telewizji film *Nieetykalni*. Tam jest słynna scena tańca Drissa (Omar Sy) z utworem *Boogie Wonderland*, młodszym przypomnę, że w wykonaniu *Earth Wind & Fire*. I niczego nie brakuje. Dla mnie mogłoby to być napisane wczoraj. Jaki tam jest groove i jaki timing. O reszcie nie wspomnę. Czy postępowanie musi się kojarzyć z upraszczaniem, prymitywowaniem i równaniem w dół? Jeszcze tylko – druga główna rola w *Nieetykalnych* to Francois Cluzet – Francis ze wspaniałego *Round Midnight* Bertranda Taverniera z 1986 roku – Oskar dla Hancocka.

Ad rem. Tak to już jest, że przejmujemy się tym, co nam bliskie, co leży na sercu i na czym nam zależy. A ja lubię piosenki. I będę ich bronił.

Mariusz Bogdanowicz

P.S. O piosence będzie też następny felieton... W trakcie pisania tego wpadłem na trop kolejnej afery CDN...

Na stronie www.mariuszbogdanowicz.pl znajdziecie archiwum felietonów Mariusza Bogdanowicza opublikowanych do tej pory na łamach TopGuitar.